

Dziesięć tysięcy dni

Pojęcie „dziesięć tysięcy„ dni, kroków itp. jest tradycyjnym zwrotem pochodzenia chińskiego i oznacza „nieskończenie wiele”

Janusz Czarniecki

Kiedy dwadzieścia osiem lat temu wchodziłem do dojo na pierwszy w życiu trening karate Kyokushin, nawet nie marzyłem, że kiedyś moja stopa stanie w miejscach, gdzie trenował i medytował twórca jednej z nowoczesnych odmian japońskiego karate – mistrz Oyama Masutatsu. Pod koniec ubiegłego roku marzenie stało się faktem. Wspólnie z polską ekipą zabrałem się Lufthansą do Japonii na VIII Mistrzostwa Świata w Karate Kyokushin. Oszczędzę Czytelnikom Budojo wrażeń z Tokio, Kamakury czy Nikko, bowiem opisy tych miejsc często pojawiają się na tutejszych łamach. Opowiem o Mitsumine – legendarnym ośrodku szkoleniowym karate w górach, miejscu gdzie między starymi świerkami i grobami samurajów czas jakby się zatrzymał.



Kiedy Oyama Masutatsu był jeszcze młody – działając za radą jednego ze swych nauczycieli So Nei Chu – spakował niewielką torbę i wyruszył w góry z ekwipunkiem treningowym i kilkoma książkami, w tym biografią sławnego samuraja i szanowanego przez Oyamę bohatera - Miyamoto Masushi. W górach twórca Kyokushinaki oddawał się rygorystycznemu treningowi.

Drzewa wykorzystywał jako worki do zadawania uderzeń i kopnięć, krzewy i głązy traktując jako przeszkody do pokonania, walcząc przy tym z najtrudniejszym z przeciwników – samotnością. Przeczytamy potem w jednej z publikacji:

„Największym owocem mojego pobytu w górach było to, iż ćwiczyłem swoją fizyczną i mentalną siłę podczas dnia, zaś konfrontowałem się z naturą i wewnętrzną jaźnią w nocy. Oczywiście moje umiejętności w zakresie karate wielce się rozwinęły, lecz o wiele ważniejsze było wzmocnienie szczególnego stanu umysłu”.

Koronea

Wiele lat później, prowadząc treningi i nauczanie, Sosami Oyama często powracał w góry ze swoimi uczniami i wybrał do tego celu samotny szczyt góry Mitsumine – jedno z legendarnych miejsc, gdzie miał trenować ciesząc się nieśmiertelną sławą Miyamoto Musashi. Miejsce to bogate jest w legendy i przesłania. Swego czasu będąc bezpośrednio niedostępnym było wystarczająco odizolowane od świata, by wzbudzać atmosferę treningów samego Oyamy, jak też oferując aurę spokoju, daleka od świata będącego „poniżej” Współcześnie na szczycie Mitsumine spoczywa pamiątkowy kamień ku czci Sosami, otoczony starymi świerkami, i skalnymi ścieżkami, po których stapał.

Pośród wiekowych nagrobków, skrywających zarówno świetnych samurajów, jak i prostych ludzi miejsce owo, jak żadne inne wywołuje wspomnienia o Mistrzu u uczniów, którzy dobrze go znali, jak i tych, którzy praktykując Kyokushin przybywają tam po naukę. Z tych względów Mitsumine przyciąga rokrocznie karateka z całego świata. Udaliśmy się więc i my na ten szczyt, podążając tropem samurajów.

Jest nas pięciu Polaków: shihan Andrzej Drewniak, Jacek Czerniec, Piotr Zembrzuski, Andrzej Krawontka i ja. Jest też z nami Andrzej Zacharski, który trenuje karate i studiuje japonistykę na miejscu, figuruje w naszej grupie raczej jako „Japończyk”. Jedziemy z Tokio w pięciu autokarach i jest tam bractwo z całego świata.- począwszy od obu Ameryk, przez Afrykę i Azję, na poczciwej Europie skończywszy. Na jednym z postojów rozmawiam z shihan Loek Hollandrem (8 dan), u którego 20 lat temu zdobyłem czarny pas. Pyta co porabiam, a kiedy dowiaduje się, że pracuję jako adwokat żartuje, że to podobne do karate, bo też służy do obrony. „ A co tutaj robisz ? - pyta.

„ I love karate” – odpowiadam, a Loek Hollander zaciska pięść. Jedziemy dalej i krajobraz robi się coraz bardziej górzysty. Kiedy docieramy do Mitsumine jest już ciemno. Wszystko jest dobrze zaplanowane –walizy targamy pod górę po zwirowanych ścieżkach i lądujemy w ośrodku odosobnienia. W przydziale jednakowe sandały, kimona i pasy. Zajmujemy pokój nr 518 urządzony, jak wszystkie w ośrodku – na klasyczną japońską modłę. Na podłodze tatami, mały stolik z akcesoriami do chanoyu.

Śpimy na matach, a pod głowę mała poduszeczka wypełniona czymś co przypomina groch. Za oknem czarna noc, mającą tylko kontury gór. Parzymy herbatę i szykujemy się do snu, bo czeka nas ciężki dzień. Okazuje się, że nasz shihan Andrzej oraz ja chrapiemy, co pozostałym bynajmniej nie ułatwia życia, ale takie są uroki demokracji. Równo o 5.30 wyrwa nas z okopów snu ciepły głosik z megafonu: „Ohayo, gozaimas ! Kyokushinkai kan !”.

Wskakujemy w brązowe sandały i biegiem do toalety. Tam trzeba przeskoczyć w zielone sandały. Tak to jest – w japońskim świecie wszystko poukładane równo i metodycznie. A porządek dnia jest następujący:

6.00 -7.00 – rozruch poranny w górach,
7.00-7.45 – medytacja norito w miejscowej świątyni shinto,
8.00 – śniadanie,
10.00-12.00 – trening w Dojo,
13.00 – posiłek,
14.00 -16.00 następny trening,
17.00 – zabiegi i kąpiele o-furo,
18.00 – kolacja,
19.00-20.00 – konsultacje w dojo z kancho Matsui Shokei.



Na rozruchu porannym docieramy na wzniesienie w pobliżu obelisku pamięci Mas. Oyamy. Trening prowadzi shihan Isobe - charyzmatyczny karateka z samurajskim błyskiem w oku. Dookoła świerki i skalne ścieżki, gdzieś mający daszek pogody. I kiedy zaczynamy ćwiczyć z gromkim kiai, a dzień dopiero się budzi, ożywa w nas nagle duch Oyamy, jakby stał tu obok i uderzał pięścią w pobliskie drzewo. Taki wytwarza się klimat, czuje się też dreszcz ! Po rozruchu czas na medytację. W miejscowej świątyni rozpoczyna ją dźwięk bębna taiko. Dźwięk jest niski i donośny, aż bolą bębenki w uszach. Siedzimy w seiza skiza słuchamy monotonnej melorecytacji kapłana. Modli się za ducha Oyamy, za Kyokushinkai. Potem wstaje kancho Matsui i kolejni shihan, każdy kłania się w stronę ołtarza i wszyscy klaszczemy dwa razy w dłonie. Ranek w górach jest zimny, kiedy więc opuszczamy świątynię, oczywiście boso i w gi, czeka nas niespodzianka. Mnisi przygotowali dla każdego miseczkę sake. Kultura.

O 10.00 trenujemy pod okiem shihan Hollandra. Dostajemy w kość tak mocno, że przypominam sobie po raz kolejny, dlaczego zacząłem trenować karate. Cały trening w przysiadzie. W przerwach Hollander krzyczy:

„ Nie wstawać, spójrzcie siebie!”, a niektórzy próbują prostować kolana. W przysiadzie przerabiamy bloki, pchnięcia i... kopnięcia. Obok mnie dzielnie walczy ze sobą sympatyczny Czech – Jiri, szef czeskiego Kyokushin, policjant z zawodu. „ Jeśli ktoś nie daje rady, niech wyjdzie, ale nie ma powrotu !” – spokojnie mówi shihan Hollander.

Nikt nie wychodzi, nawet 74 letni 5 dan, który ćwiczy jak wszyscy. Nasz shihan Andrzej Drewniak (6 dan) nie przepuszcza żadnej kolejki, pracuje jak wtedy , gdy 28 lat temu trafiłem do jego dojo. I o to tutaj chodzi, wszyscy to czujemy. Na obiad paradujemy w piątkę w jednakowych kimonach i ciemnozielonych kubraczkach. Wszyscy są tak umundurowani i wygląda to jak ruchomy las w filmie Kurosawy, kiedy 200 osób siedzi w skiza wzdłuż długich jamnikowatych stołów i zajada pałeczkami ryż, owoce morza, kawałki mięsa i miejscowe warzywa. Shihan Drewniak, który jest tu stałym bywalcem, uczy nas jak łączyć te potrawy w smaki, jak używać przypraw, by miało to sens. Początkowo wszystko to co znajduje się na stołach nie ma smaku, ale po odpowiednim przeszkoleniu odkrywamy czar japońskiej kuchni. Posiłek zaczyna się i kończy krótka medytacją. Tajemnica ich treningu tkwi w trzymaniu się standardu reguły – rozgrzewka stawów i ścięgien od kostek po głowę, cały katalog tsuki, uchi, uke i keri. Chodzimy we wszystkich pozycjach, kopiemy w przód, w bok, w tył i pod kątem 45 stopni.

Bardzo szybkie tempo. Dużo przy tym objaśnień i komentarza. Akcent na płynność i dokładność ruchu. Każda sekwencja powtarzana jest z kiai. Kiedy treningi prowadzi kancho Matsui Shokei, widać niekwestionowane mistrzostwo i perfekcyjną technikę. W demonstracji technik samoobrony urzeka swoboda z jaką kancho pokonuje asystującego mu shihan Gorai. Lekkość ruchu i niesamowita skuteczność. Po treningu kolacja, a potem miejscowa specjalność o-furo. Myślimy o prysznicu, a wchodzimy do dużej sali kąpielowej, gdzie krany z wodą są na wysokości kostek. Wzorem innych siadamy i polewamy się zimną wodą nabieraną do misek. Po takiej ablucji wchodzimy do kadzi z wrzącą wodą, pochodzącą z miejscowych źródeł. Satysfakcja gwarantowana. Potem znowu zimna woda i powrót do gorąca. Po prostu o- furo. Wieczorem sączyśmy sake, ale w małych ilościach, wstrzemięźliwie. Toast kanpai musi być powolny. Siedzimy w siadzie skrzyżnym w jednakowych kimonach, na tatami i gawędzimy. Wygląda to jak na jakimś samurajskim filmie. A rano o 5.30 znowu miły głosik woła z megafonu: „ Ohayo, gozaimas!”. Leje jak z cebra. Nie ma to znaczenia, trening musi się odbyć.

I tak dzień za dniem, według porządku: rozruch, medytacja, posiłek, trening, posiłek, trening, o – furo itd. Zbliża się egzamin na wyższe stopnie dan. Obaj z Andrzejem Krawontką podchodzimy do egzaminu i nie da się ukryć napięcia. Nie ma lekko. W komisji jest sześciu mistrzów pod przewodnictwem Matsui Shokei, wszyscy mają 6-8 dan. Egzamin za zamkniętymi drzwiami trwa blisko cztery i pół godziny. Jest wyczerpujący i skoro drzwi zamknięto ja ich nie będę otwierał. Obaj zdaliśmy i tyle na ten temat.

Pobyt w Mitsumine zawsze kończy się wyprawą nad wodospad. Prowadzi shihan Goda (8 dan). Zbiegamy z góry pośród przepięknej, kolorowej jesieni. Ścieżki są kręte i kamieniste, a liście mokre, lecz podziwiamy japońskie krajobrazy. I po godzinie jesteśmy pod wodospadem. Tam kancho Matsui zachęca osobistym przykładem do treningu pod lodowatymi strugami wody, która tnie jak brzytwa. Uprzedzał mnie mój przyjaciel Krzysztof Borowiec, że tak będzie i miał rację. Ćwiczymy rozebrani do pasa i jest to niesamowite wrażenie. Tak chyba trenował tu Oyama i czuje się ten klimat. Gdyby nie kiai zamieniłbym się w lód. A potem dwukilometrowy marsz, idę Piotrką

Zembrzuskiego. Jesteśmy przy autokarach. Mam okazję zamienić parę słów z kancho Matsui i zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie.

Opuszczamy Mitsumine, ale coś w nas pozostaje. Coś szczególnego, Schodząc ścieżkami po których kroczył Musashi i Oyama nabieramy większej pewności. Jest w tym jakaś samurajska nuta. Wśród myśli Sosami Oyamy Masutatsu, które pozostawił, jest takie stwierdzenie :

„ Początkującym stajesz się po tysiącu dni, a mistrzem po dziesięciu tysiącach dni treningu”.

Zaczął liczyć i zadowolony stwierdziłem, że 10 tysięcy dni to z grubsza 28 lat. Potem z pokorą przypomniałem sobie inne wyliczenie, które przeprowadził Michael Michale. Lorden w swej książce „ Oyama – legenda i dziedzictwo”. Zakładając, że trzy sesje treningowe to przeciętna wśród uczniów obliczył, że 1000 dni treningu to 6,4 roku, zaś 10.000 dni treningu to 64 lata z okładem. Trening nigdy się nie kończy.

Artykuł opublikowany w „BUDOJO” (Pismo Miłośników Miecza Japońskiego i Tradycyjnych Sztuk Walki) Nr 4/2004(7)

